№ 36.

Bióro Redakcyi przy ulicy Chmielnéj blizko Nowego Światu Nr. 1260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz w tydzień co Środa. — Prenumeratorowie z prowincyi raczą nadsyłać przedpłatę wprost do Redakcyi, a to w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 25 Sierpnia / 6 Września 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11 1/4, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33 3/4). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

SPOTKANIE.

(Nowella).

Powracałem późno do domu. Na załomie ulicy stał człowiek przyciśnięty do muru kamienicy. Sądząc że mam przed sobą

— O, bratku, tak łatwo ze mną nie idzie. Kiedyś mi wszedł w drogę, nie rozstaniemy się tak prędko. Lubię towarzystwo, zwłaszcza ludzi porządnych, to jest, dodał śmiejąc się, ludzi, którzy mają zbytkowe *dychacze*. Chodź, zafunduję ci kufelek.

— O téj porze, zmiłuj się, godzina 12-a,—wszędzie śpią.

— Tak ci się zdaje tylko. Oho, w Warszawie sen nie łatwo przychodzi; trzeba się albo odurzyć trunkiem albo... no, ale o tém potém. Daléj! chodźmy.



WOJNA.

Kopia obrazu Świeszewskiego, z Wystawy Warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. (str. 282).

kogoś wstydzącego się żebrać, podałem mu kilka groszy. Nieznajomy roześmiał się na całe gardło.

— Dziwowisko, rzekł głosem przerywanym śmiechem. Dziwowisko. Ha! ha! ha! Nie jestem żebrakiem, mój litościwy panie; schowaj *serce* te dziesiątki na kufel piwa. Widzę żeś pulchny i okrągły; — nie tyje się ze szczęścia — ale z *bawara*.

— Przepraszam, stokrotnie przepraszam, powiedziałem, chcąc się oddalić.

— Nie pójdę, rzekłem stanowczo.

— A dla czego? Wasze damy od świtu do nocy biegają po najobrzydliwszych zaułkach miasta, szukając *wyjątkowéj nędzy*, gdy tymczasem omijają bawarye i szynki, gdzie jeszcze nie sięgła litościwa ręka tak zwanéj dobroczynności. Pijak to bydlę, nie prawdaż? a dziad, z przyprawionym kawałem mięsa do mniemanéj rany — czémże jest? Co? Hę?

— Nicponiem, wyzyskującym publiczne miłosierdzie.

— Zamiękko... Ha! Ha! Ha! No, daléj, co tu myśléć.

Nieznajomy pociągnął mnie silnie. Chcąc nie chcąc, wtłoczyliśmy się do jakiejś ciemnéj, cuchnącéj dziury.

Spojrzałem na towarzysza. Był jeszcze młody, okryty łachmanami. Twarz jego miała jakieś sine ślady, włosy czarne zlepiły się w kołtuny, podobne do pliki. Mówił głośno i hardo spoglądał w około.

— Kufelek piwa jeden i drugi!.. mój przyjaciel płaci.

Coś podobnego do człowieka podało żądane kufle.

— Jakże się tu podoba? zapytał. Masz pan zebranie ludzi wszelkiego stanu, począwszy od artysty, tego najwyższego szczytu człowieka, aż do tragarza, machiny obdarzonéj życiem a obracanéj potrzebą. Wszyscy tu, osobno wzięci, przedstawiają każdą fazę życia. Jednych do kieliszka pociągnęła miłość, innych przyjaźń zawiedziona; tamci dla braku środków do życia utopili pracę w spirytusie, owi znowu nie mogąc podołać gorączce, co się artyzmem zowie, nadmiar życia zużywają w libacyach; lecz bracie, żaden nie spodli się wyciągnięciem ręki po jałmużnę, żaden sromotnie nie zażąda przytułku w szpitalu... zapije się i umrze w rynsztoku. Powstał z kału i w kale skończy. No, pij mój drogi, może wódki? co? Wódki! krzyknął. Kieliszek, nie więcéj; człowiek żeby najwięcéj pił, zawsze pije tylko kieliszek.

Nie przyjąłem jednak zaproszenia. Nieznajomy odrazu wychylił kwaterkę.

— Trochę zawcześnie, dopiero północ, rzekł, dziwnie rozogniając się. Nie moja pora, rzekł gwałtownie, piję wódkę do poduszki. Tak, do poduszki, kiedy czas usnąć. Wygodnie sypiam, moj panie, w puchach, w puchach, pod pawilonem błękitnym, przybranym nieraz tysiącem gwiazd; wiatr mi piosenkę do snu zawodzi, rosa mię rankiem ochładza, kąpię się w promieniach słońca, zrywam się trzeźwy i świeży, skoro tam na wielkim świecie huk powozów zapowiada rozpoczynające się życie dnia. Z naturą jesteśmy zawsze w zgodzie; człowiek uczciwy chowa się w mury przed słońcem, nie upaja go widok uroczy świata, bo upoił go blichtr sztucznego szczęścia, życie w wygodach!

— Pan wiele cierpiałeś w swém życiu, rzekłem.

— Co pan powiadasz? zowołał, zrywając się.

— Doznałeś zawodu, powtórzyłem ciszéj.

— Przeciwnie, byłem szczęśliwy, i dla tego zostałem pijakiem. Wódki, zaraz! natychmiast! Wódki, do stu piorunów!... Pociągnął z butelki... Na twarzy zjawiły się czerwone plamy, oko zajaśniało niezwykłym blaskiem. Chwycił mnie za rękę:

— Ty będziesz pijakiem! zawołał. Jesteś dobry, uczciwy, masz serce! Tak, ty będziesz pijakiem!!

Odsunąłem się szybko, a uwolniwszy się z rąk nieznajomego, chciałem go pożegnać.

— Proszę, rzekłem, co się należy?

— Nie, ja płacę. Mam pieniądze! Nie pytaj o więcéj.

— Żegnam, czas do domu.

— Czekaj, należy ci się moralna nauka. Zanim cię pocznie chłostać przeznaczenie, posłuchaj!

Siadłem rozciekawiony.

— Nie byłem tém czém jestem. O, tak, byłem człowiekiem, miałem prawa człowiecze. Natura obdarzyła mię piękną powierzchownością, silném zdrowiem, lecz niestety, jakby macocha, w sercu rozpłomieniła uczucie, w głowie zapaliła piekło.. wyobraźnią!

Żyłem, kochałem i śniłem. Na ziemi śniłem o aniołach, na ziemi szukałem aniołów, na ziemi wierzyłem w szczęście!

Życie w dostatkach pozwoliło mi zakosztować nieziemskich roskoszy; poznałem kobietę, pokochałem i w czterech ścianach, niebaczny, starałem się zbudować niebo!

Któż opisze chwile rozwijającéj się namiętności, zaczątki słodkiéj trucizny, kto jest zdolny, pijąc nektar z kielicha, dopatrzéć się na dnie śmierci, co się zowie.. *przesytem*.

Poczęliśmy we dwoje życie aniołów, by późniéj, strawieni żarem nieziemskim, rozstać się jak ludzie — szatani!

Jam dla niéj z myśli mojéj stworzył życie, — z serca kościół — z uczucia — ożywiające źródło... Skonałem jako człowiek, by duchem moim ożywić ją, uczuciem ogrzać, myślą uwiecznić — skonałem w obowiązkach, aby ona była.. świętą. Z kobiety, żony i matki, stworzyłem kapłankę domowego ogniska; i upadłem na kolana przed jéj postacią, zmienioną w bożyszcze, czołgałem się przed jéj obliczem, bo ona była moim duchem.. gdy ja pozostałem tylko ciałem... mężem.

Mąż! Ha! ha! ha! Mąż nie jest mężczyzną, mężem nie jest człowiek, ale ojciec jest mężczyzną! Człowiek może być ojcem! Byłem ojcem a jednakże przestałem być człowiekiem. Zwierz, dla własnych dzieci, z tysiąca innych zrobi ofiary; wykarmi je własną krwią albo pożre z rozpaczy. Ja.... Wódki! bo oszaleję. Daj wódki! Wychylił szybko kieliszek.

Ja... ja je okradłem!.. Zbrodnia ojca z pokarmem przeszła w żyły dzieci.

Obrażona moralność domagała się kary, ludzkość odwróciła jasne oblicze, człowiek wyparł się spodlonego brata — ziemska sprawiedliwość usunęła z przed oblicza innych istotę zarażoną trędem występku.

Upadek jest zawsze brakiem siły, zbrodnia jego następstwem. Zbrodniarz nie dla tego jest karany, że zabił, ale że upadkiem moralnym zrównał się z bezrozumnym tygrysem.

Wolno kraść, ale niewolno być wyzutym z uczuć człowieczych.

Nędzarz, obarczony familiją, jest oszustem w obec życia, jest zbrodniarzem, bo na sromotę, nędzę i upadek wydał podobnych sobie; jest Kainem ludzkości!

Po kilku latach odcierpianéj kary, wróciłem parią, wywołańcem.

Był ktoś, co nauczył dzieci moje okropnego nazwiska *złodziéj*! Tym ktoś... była moja żona!

Słodkie wspomnienie... prawda przyjacielu?

Szukałem przytułku między ludźmi, odmówiono mi. Szukałem przytułku... między braćmi... znalazłem go.. w psiéj budzie! Zwierz podzielił się z barłogiem, pozwolił odebrać sobie nędzną strawę i jak do przyjaciela łasił się, skomlał radośnie.

Człowiek i tu zajrzał... Włóczęgę — wypędzono.

Blady jesteś, co tobie? Boisz się, drżysz. Masz łzy w oczach. O, ty będziesz pijakiem! I ja płakałem i ja lałem krwawe łzy, płakałem krwią z pod serca. Piekło! Szatany!

Czegoż się odsuwasz?.. podaj mi rękę, zawołał.

Podałem.

Odejdź już. Tu coś dławi, w oczach pali; piłem zamało. Wódki! Piekło! Dla czego tu tak smutno? Zkąd ten hałas? Jakiś śpiew? Słuchaj! To ona śpiewa. Śpiewa nad kolebką dziecięcia... naszego dziecka. Precz! nie zbliżaj się! Precz, mówię ci. Ono woła: złodziéj! krzyknął nagle, uciekajmy! Złodziéj! złodziéj! To jéj głos!

Zerwał się szybko i pochwycił mnie za rękę:

— Chodź! Pokażę ci. Jeśli skonam, przyjdziesz tu, do tego domu, ona ci otworzy; poproś niech mię pochowa na poświęconym gruncie. Nie targnę się na życie.

Oparł się o mnr, milczał długo, a potém nieludzkim głosem zapłakał.

Pochwyciłem go w objęcia... okropnie był blady. Uspokoił się. Siadł na kamieniu i rzekł najspokojniéj:

— Nie mogę się upić nigdy!

Potém zwiesił głowę i milczał. Chciałem go podnieść, nie pozwolił. Czekałem blisko do rana. Nareszcie powstał, a dziękując mi i przepraszając za mimowolny kłopot, szybko odszedł.

Pobiegłem za nim, — przystanął:

— Pozwól mi oddalić się, rzekł błagalnie, ucieknę od ludzi, tam, w pola, w lasy... Bądź zdrów!

Wyrwał się i biedz zaczął.

Nie ścigałem go. Wieczorem tylko posłyszałem, że się ktoś utopił. Czy trup wyciągnięty z Wisły—był owym nieznajomym, nie miałem odwagi sprawdzić.

S. M.

WOJNA.

Kopia obrazu Świeszewskiego.

Na Warszawskiéj Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, uderzają oko widza dwa niewielkich rozmiarów obrazy, utalentowanego artysty p. Świeszewskiego: *Pokój* i *Wojna*. Jeden właśnie z nich, wyobrażający *Wojnę*, zamieszczamy w drzeworycie w dzisiejszym Numerze, na czele naszego pisma. Utwór ten nie przedstawia nam wprawdzie, nie ujawnia całéj grozy bitwy nieprzyjacielskich szyków, ale za to pokazuje straszne — okropne jéj skutki. Na zniszczoném polu, pod zbombardowaném miastem, leżą trupy ludzi i koni. Żołnierze zbierają i grzebią zwłoki pole-

głych towarzyszów broni. Tu i owdzie widać potrzaskane lawety i jaszczyki — a miasto — całe w płomieniach! Śmierć i zgrozę czuć dookoła... Jedno tylko zarzucićbyśmy mogli temu obrazowi, t. j. zbyt skąpe wyprowadzenie na plan, przyczyn tych strasznych skutków. Nie zawadziłoby jeszcze trochę więcéj akcyi...

JESZCZE

O HAMLECIE.

przez

BOGUMIŁA ASPISA.

(*Dalszy ciąg*).

Więc czy zgadzacie się już ze mną na jeden ten, przeważny dotąd wniosek o utworach Szekspira, że te, odrzucając na stronę wszystko, cokolwiek w nich saméj sztuki, rodzaju tejże sztuki, nawet gdzieniegdzie i względów doraźnych: *miejsca* np. lub *czasu* jest piętnem, w istocie swojéj prawdziwéj przedstawiają tylko nieruchomy, kamienny i cichy, jak dno morza, spokój? Że w spokoju tym sam Szekspir, nie drzémiąc bynajmniéj, lecz jednakże tylko myśląc, patrząc się i rozważając wszystko, pomimo że wam nigdzie, *skąd* macie uciec a *gdzie* pozostać, *co* kochać a *czego* strzedz się, nie objawia, tak groźnie jednakże samym tym wzrokiem już swoim wam imponuje, że sami co on myśli, robić chcecie i tam patrzycie tylko, gdzie on patrzy? Czy zgadzacie się już na to? zgodzić możecie?

Toć właściwie rzecz wcale nienowa — nie przezemnie po raz pierwszy powiedziana.

Ja, broń Boże! do odkryć nie mam pretensyi i zresztą lada krytyk wam powié, że ta właśnie inercya indywidualizmu ze strony autora, jest najpierwszym i najkonieczniejszym warunkiem doskonałości sztuki dramatycznéj.

Zgadzacie się więc... choćby dlatego, aby wam zaraz wolno się było spytać: co mnie, mnie przyjść może z tego przyznania waszego?

Więc zgadzacie się? — Tak jest. Musicie się zgodzić.

A mnie z tego co przyjdzie?

A oto co.

Ja wam powiém wtedy: Moi kochani! Nie jesteście przecie tyle dobroduszni, aby wierzyć że wszystko, czego krytyka od artystów lub poetów lub innych jakich ludzi, dla doskonałości sztuki uprawianéj przez nich, się domaga, było zaraz koniecznie tychże artystów lub poetów lub innych tychże ludzi, udziałem. Od czegóż są *mniejsi* i *więksi* na świecie i dlaczegóż w mowie ludzkiéj są *pia desideria*?

Czemu Tacyt - poganin większym jest historykiem od.. katolika - Bartoszewicza?

Kant - kosmopolita, w swojéj np. *Krytyce czystego rozumu*, wyższym od polaka, księdza Gołuchowskiego?

Macchiavel monarchista wyższy od Rottecka republikanisty?

Szekspir - dramaturg, od dramaturga Szyllera?

..à propos tego ostatniego, czemu np. w Don Carlos'ie, Markiz Poza, ukochany charakter samego autora, ubliża jednakże warunkom prawdziwéj sztuki dramatycznéj i staje się tém samém dramatu rzeczonego głównym szczerbem?

Oto, że wszyscy — Kant, Tacyt, Macchiavel, Rotteck, Bartoszewicz, Gołuchowski.. Szyller nareszcie, będąc tymi i owymi w języku powszechnym, podobając się mniéj lub więcéj tłumom, mając przez to większą lub mniejszą sławę, — byli bliżsi lub dalsi szczeblami swego talentu.. dodajemy teraz: szczeblami mądrości, swojéj, kogo? —

Ba! właśnie o tém powiem zaraz.

Lecz jeszcze się was spytam w dalszym ciągu.

Jeśli wiecie tedy, że nie wszystko się dzieje jak chce krytyka w prawdziwém znaczeniu swojém, to czy uwierzycie także, że ktoś, gdzieś, czasem, jeden, jedyny zdarzyć się może na téj ziemi, co właśnie to czego krytyka się domaga, w całéj pełni i istocie tych jéj domagań, może mieć i posiadać w sobie?

I spytam was zaraz potém: Czémże jest ów spokój właśnie, o którym przed chwilą mówiłem.. w człowieku—w artyście—w poecie — w filozofie?

— Jest najwyższą mądrością, — odpowiecie mi zapewne.

— A jeśli tak, — to czémże jest Szekspir?

— Jest najwyższym mędrcem.

— A jeśli tak, — to czémże jest mądrość najwyższa według was już samych, jak nie fotografiją tylko bytu, życia, w któréj się świat cały odbija, jak w szkle morza i jak w szkle morza spokojnie przegląda?

Wy się tu zachwiejecie i wtrącicie dopiero:

— A serce! — więc Szekspir nie miałby serca?..

niby nie kochał, nic nie nienawidził? niczém się nie wstręcił? niczém nie zachwycał?.. jak to robili owi właśnie: Tacyt, Kant, Macchiavel, Bartoszewicz, Gołuchowski, Szyller et cetera?

A ja na to znów:

— Nie ma, nie ma go! — odpowiem. Tego serca w utworach swoich, nie ma Szekspir! Patrzcie oto — zabija, męczy, torturuje! Tu trup Lear'a! tam trup Desdemony! — tu ryk Otella! tam głuchy stęk Shyloch'a — tu Macbeth skonał! tam Polonius! Ofelia! — tyle trupów! tyle trupów!.. A Romeo oto jeszcze!.. a Julia! — Krew precz, krew!.. zemsta!.. zawiść!.. zbrodnia!..

To nie tak, jak u Szyllera, — dodam, — który sam płacze przynajmniéj po śmierci zabitych przez siebie ofiar! — nie tak, jak u tego, owego, jak u Dumasa syna np. co tak uciemiężonych i biednych swoich proteguje!

Niema serca Szekspir! i — tylko słuchajcie! — przez to, że go niema, że tak jest właśnie, wyższym jest od wszystkich Macchiavelli'ch, Kantów, Rottecków, Szyllerów, Dumas'ów i t. d. i tamci tylko tyle więksi są lub mniejsi, im bliżsi albo dalsi od niego!

Czy to rozumiecie?

— „I za cóż to Aść tak wynosisz prostego fotografa?“ może się w téj chwili ktoś z was dopiéro odezwie. „U nas taka sztuka warta mniéj od innych! — Nic swojego nie dodać, nie doczuć, nie domyśléć, a tylko to co jest już, co nie jest przez siebie, przedstawiać, malować, rysować i nawet własnego sądu nad tém nie wygłosić! — Toć przecie słońce robi to samo! — Na lada papierku rzecz tę sprawdzić można!“

— Prawda! — ja odpowiem. Tylko.. tylko.. tylko..

No, powiedzcie, proszę — na czém cała mądrość i wiedza człowieka polega? Czy na dotwarzaniu czegoś do tego co jest już w świecie? na poprawianiu, zmienianiu dzieł Boga? czy też..

No, jakże o tém myślicie?

— A! — wtrącicie — to też człowiek środki na to wynalazł i w tém już, w tém przecie jest koncepcya jego! — Twórcą jest bo stworzył sposób jak to znaleźć!

— Sposób! — ja odpowiem. Otóż tym sposobem, tym środkiem malowania wszystkiego na ziemi, jak jest i jak z wieków tu było i będzie, — fotografowania tego, co Bóg w nas tu stworzył,— tym środkiem wszechmocnym jest.. sztuka Szekspira —, talent, który może jak on inni mieli, nie mając jednakże mądrości jego.

— Więc Szekspir jest wielkim przez to tylko, że jest fotografem? — spyta mnie po wszystkiém ktoś teraz jeszcze, co mnie nie zrozumiał. A ja mu na to po wszystkiém także teraz, jako doskonale rozumiejący znów siebie, odpowiem:

— Istotnie. Wielkim przez to, że jest fotografem. Lecz fotografem przez to, że jest — mędrcem. A mędrcem — nie, że zapożyczył, lecz że wynalazł pierwszy fotografję.

Mała rzecz! — prawda?.. wynaleźć tak rzecz małą?

Sprobój pan! — i sprubój.. tak.. sam z siebie.. bez pomocy słońca.. sam słońcem się stawszy!..

Więc — mądrość Szekspira, to *sposób malowania prawdy tego co jest.*

Wielkość jego — to *spokój przy malowaniu téj prawdy.*

I oto rzecz cała.

A teraz do Hamleta.

Wystawiwszy więc sobie Szekspira jak np. posąg z żelaza, postawiony w pośrodku pomiędzy otaczającemi go zewsząd silniejszemi lub słabszemi igłami magnesu (społeczeństwo!) z których czasami tylko jedna lub druga z tych igieł przyciągnie go nieco bliżéj ku sobie, nie mając jednakże dość mocy działaniu w téjże chwili przeciwnéj znów igły na niego, stawić oporu, — wystawiwszy go sobie jako takiego i widząc, że się takim wszędzie i zawsze pokazu-

je (a wymieniliśmy już przyczynę) jakże łatwo teraz będzie sformułować *cel* sobie, którego Szekspir, w kolejném swojém malowaniu wszystkich stron naszego życia zamierzył wreszcie dopiąć na „Hamlecie!“

Prawdziwie, warto-ż było łamać sobie aż tyle głowy nad prostą rzeczą!

Oto widzimy go jak stoi i rozważa.

Przedstawiłem *zazdrość* — jest Otello.

Przedstawiłem *miłość* — Romeo i Julia.

Ambicyę — Macbeth.

Zemstę — jest Schyloch.

Czy mnie ten tłum rozumie? — przerywa sobie nagle samotnik.

Ha! — klaszczą!.. dają pieniądze.. Mnie oklasków tak trzeba, tak trzeba i pieniędzy także — o tak!

Żona.. dzieci..

Widać to wszystko i nie takie złe bardzo!

No, niewiele wprawdzie znów tak zysku, ale.. może kiedyś, kiedyś tam ktoś przyjdzie, co się lepiéj na rzeczach tych pozna.. Może wielki talent w nich odkryje!.. ba! ba! ba! — wielki talent! — Czy tylko?..

A dobrzebym też ja wyglądał na postumencie — w aktorskiéj, téj, ot lichéj téj odzieży?.. Na postumencie, któryby był z brązu; mocny, twardy, trwały.. aż taki trwały! że — przetrwałby dopóki.. dopóki co?..

Dopókiby ta ziemia, ta kulka mała, jušci pewno pod ciężarem jego!! na cztery części świata nie prysła, a tak, żeby się z niéj i z posągu mego i z méj sławy, tylko kurz na utworzenie drugiéj znów takiéj kulki, pozostał!

Hm! — sława! — szepcze znów po chwili. Wartoż się po nią piąć! warto!.. dla marności takiéj czasu! — Tak — warto!..

I znów się zamyśla.

I o czémże myśli?

O żonie — dzieciach — o utrzymaniu szopki swéj aktorskiéj, z którą się błąka, a któréj sztuk starych już się jakoś przebrało, tak, że nowych, nowych łaknie koniecznie.

I słyszymy, jak tu serce, *serce, którego Szekspir nie ma*, znalazłszy się gdzieś nagle, w piersi jego teraz, drżeć zaczyna i bije ..a mocno — wierzcie nam — bo je słyszymy. — I oto jest Szekspir w życiu.

Uspakaja się wreszcie.

Potém znowu myśli — myśli.

O czémże?

A oto znów głos słychać.

— Cóż pisać z kolei? — szepcze.

Tyle w głowie myśli — tyle planów — tyle zaczętych a niedokończonych jeszcze rzeczy!

— Więc może Hamleta? — przerywa sobie po chwili.

Przerobić ten dramat — musiał już dobrze dojrzeć, leżąc lat tyle i na poprawki czekając.. Więc Hamleta! — domawia.

I siada do pracy.

Potém.. po chwili.

— Ten *duch* ojca Hamleta.. czy go zostawić na scenie? czy też znieść go zupełnie, jak rzecz niepotrzebną wcale?

Ale.. kiedy, pomijając już nawet że w wieku owym wierzono jak dziś w befsztyk, w *duchy* i że strona ta sztuki koloryzuje wierniéj epokę, *duch* ten jest jeszcze potrzebny, aby właśnie niewiarę Hamleta lepiéj uwydatnić. Cóż znaczy, że się królewicz przy zjawisku tém na chwilę, na dwie chociażby, w przekonaniu swojém o nicości ziemskiego życia, zachwieje, — kiedy przecie potém uczuwa potrzebę sprawdzenia zbrodni Klaudiusza, aż za pośrednictwem wędrujących dopiero aktorów, których jeszcze sam nawet grać uczy? Sceptycyzm jego tém bardziéj się tylko przez to i tém jaskrawiéj jeszcze rozumnym słuchaczom przedstawi. Zresztą, tego *ducha* któż widzi tylko z aktorów *Hamleta*?

On sam — jako mędrzec, który wié, że wiedzieć wszystko, znaczy nie wiedzieć nic.

Przyjaciel jego — który patrzy przez siatkę miłości i imaginacyi.

Wreszcie służba głupia i.. nikt więcéj.

„Przysięgaj!“—będzie *duch* wołał z pod ziemi.. to prawda! — lecz usłyszą go znów ci sami tylko którzy widzieli.

A nie pokażę go za to.. nie pokażę — Klaudiuszowi bo to — cielsko tylko!

I nie pokażę Gertrudzie, bo to — cielsko drugie!

Dobrze więc jest. Dowodzę, że władz umysłu potrzeba dla widzenia ducha albo.. mglistych snów samego tylko uczucia..

Gertruda i Klaudiusz mędrsi są od głupich, bo.. serc nie mają. Mają instynkt, który w zwierzętach zowie się tak samo, a w ludziach rozumem opatrywania tylko cielsk własnych.

Więc *duch* pozostaje.. choć wiém że mnie za niego krytykować niektórzy będą.. Ba!..

Teraz co zrobić z Ofelją?

Ofelja kocha Hamleta — kocha go bardziéj niż Julia swojego Romea.. o ile jest od tamtéj mędrszą i intelligentniejszą. Wszystkiemi porami duszy go czuje — tak — taką chce mieć Ofelję.

Tylko... czy nie źle robię, robiąc ją tak mało czynną? Czyby się więcéj energii nadać charakterowi temu nie godziło? Niechby tak ojca swojego odrazu nie usłuchała, kiedy ten jéj związków z Hamletem zakazuje. Przecie miłość prawdziwa zdobywa się zwykle na siłę.. Przecież Julia..

Tak.. ale tamta jest w rezultacie dość głupią — kocha wrażeniem — użyciem miłość swą mierzy. Zresztą.. ma w palcach, trzyma go — kochanka, który ją tylko woła i woła do siebie. Tymczasem Ofelja? — któż jest Ofelja?

Najpromienniejsza postać pomiędzy kobietami!.. gdzie serce jest czémś więcéj jak sercem — mądrością, światłem, wiedzą, a gdzie rozum znowu na tyle tylko chce i pragnie, ile go serce oświeca. To serce jest zaś — w sercu tém światło.. nie instynkt i nie krew sama, jak u Julii. W Julii miłość stwarza dopiero coś w rodzaju duszy, jéj pozór.. bo ta duszy mało ma właściwie — Ofelja wprzód duszę ma a potém kocha. Dlatego, że sama światłem jest — w światło patrzy. Nie rozumié o tyle Hamleta, o ile Hamlet dla daleko mędrszych nawet od Ofelji za wysokim jest — o ile na niego sześć tysięcy lat czekało a przyszedł raz jeden..

Więc Ofelja wié tylko mądrością swoją tyle, że są ludzie na świecie, którzy całkiem nie potrzebują i nawet nie mogą kochać kobiety — że kobieta im zbyt małym jest tworem — że to ludzie strasznie, strasznie uczeni! i wiedząc to, (co jednakże jest tylko trochę prawdą względnie do Hamleta) gdy królewicz inaczéj jéj się całkiem od innych oświadcza, a ojciec jeszcze za miłość jéj grozi, a brat ją jeszcze od kochanka odstręcza, — Ofelija milczy — słucha — czeka i.. niczego nie doczekawszy się — warjuje. No! — bo jednakże życie dla Ofelii bez Hamleta jest niepodobieństwem! — jest tak jak życie bez słońca dla księżyca — Tak!.. Dobrze!.. Hamlet i Ofelja to — słońce i księżyc. Ziemią reszta! — ziemią wszyscy tam będą! — Czarnoziemem — Ozryk i Laërtes; błotem Klaudiusz i Gertruda; piaskiem — Poloniusz.

Aha! — dobrze. Jakże z nim jeszcze zrobię?

(Dokończenie nastąpi).

Z KRONIKI NAUKOWEJ.

(Dokończenie).

Od badań meteorologicznych, przejdźmy do hydrograficznych.

Temperatura morza dochodząca 12 stopni przy brzegach Norwegii, obniżyła się do 5^0, w miarę posuwania się Germanii więcéj na północ. — Obserwacye wykazały że obniżenie to na każdym stopniu szerokości w kierunku północnym, wynosiło 0^0, 6 — na każdym zaś stopniu długości 0^0, 5, postępując od wschodu na zachód. — Pod południkiem wyspy Jana Mayena i ku północy od 71 stopnia szerokości, temperatura wody oscylowała pomiędzy 0^0 i 2^0, 5 ciepłomierza stustopniowego; tak przynajmniéj okazały doświadczenia odbywane od Czerwca do Września.

Wyprawa niemiecka nie ograniczała się jedynie badaniem temperatury morza przy jego powierzchni, ale obok tego usiłowała oznaczyć cieplik głębi. Pod szerokością Bergen znaleziono temperaturę odpowiadającą 70 sążniom, niżéj poziomu morza. W obrębie wszakże koła biegunowego zaobserwowano znaczące obniżenie o $^1/_4$ część stopnia na 10 sążniach, utrzymujące się aż do 100 sążni głębokości. W téj ostatniéj zatem głębokości morze miałoby temperaturę o $2^1/_2$ stopnia niższą od téj, jaką znaleziono przy jego powierzchni.

Pod 76 stopniem szerokości, głębokość morza dochodziła 1400 sążni temperatury 3 stopniowéj—w okolicach wysp Spicbergowych,

2170 sążni—w miejscowości odleglej o 60 mil ob *Siedmiu Wysp*, morze było głębokiém na 1370 sążni — a pomiędzy 76 a 79 stopniem szerokości, na 2650 sążni. — Góra Biała i całe pasmo Alpejskie z niknęłyby całkiem w tych otchłaniach. Pomiędzy wyspami Spicbergu i Baerew góry podmorskie piętrzą się niekiedy na 70 stóp wyżéj poziomu morza; skały w starciu z lodowiskami osadzają rumowiska podobne do sprawianych przez moreny lodników Alpejskich. Wyprawa niemiecka zebrała mnóstwo odłamów skał wyszczerbionych przez lody, które stanowić będą okazy ważne dla geologów. Wyrwy te zdają się okazywać, że naokoło bieguna północnego, zalega głębokie i rozległe morze którego prądy niosą daleko potężne bryły skalne. Zresztą piękne prace Nordenskjö'lda i Torrela odsłoniły nam w części nie tylko lądy i morza nieznane biegunów, ale nadto tajemniczy świat roślinny i zwierzęcy morskich topieli. Od czasu poszukiwań Forbesa w kotlinie morza Egejskiego, naturaliści mniemali, że liczba gatunków zwierzęcych w głębi wód żyjących, zmniejsza się znacznie w miarę zapuszczania się w przepaście morskie — że już w głębokości 300 sążni życie jest niemożebném. Wszakże Milne Edwards, w roku jeszcze 1861 wykrył w głębokości 1000 sążni, w morzu Śródziemném, rozmaite mięczaki i zwierzokrzewy żyjące razem z Brzuchopełzami oraz licznymi polipami; a w niedługim czasie po nim Torrell w téjże saméj głębokości, natrafił w oceanie lodowatym na całe rzesze zwierząt, których istnienia *w topielach pozbawionych śladu światła, pod ciśnieniem dwustu atmosfer* niktby się nie domyślał. Za pierwszém rzuceniem sondy w głębię 1180 sążni w północnéj stronie wysp Spicbergu, Koldewey dobył mnóstwo mięczaków z rodzaju Tellina, Yoldia, Astarte i Tritonium, czyli gatunku zwanego *Trąbą Trytona*. Obok nich znalazł pierściennice o pięknych żywych barwach, jak oto Terebella, Nephthys, Phyllodoce, tudzież osobliwszych kształtów skorupiaki z rodziny Cuma, zagrzęzłe w glinie i piasku które dno morza zapełniają. Druga wyprawa niemiecka na biegun, studyująca obecnie ocean lodowaty zapewne wykryje ciekawsze jeszcze twory wodnych otchłani. Zaopatrzoną jest ona w odpowiedni do tego przyrząd nurkowy, i ma śledzić życie w głębiach na 1200 sążni zapadłych.

Bacząc na nieustanne usiłowania naturalistów i popęd nadawany przez rządy poszukiwaniom naukowym, wróżyć możemy, że tajemnice mórz biegunowych wkrótce poznanemi zostaną. Cywilizacya przedrze się przez olbrzymie góry lodowe, gdyż postęp stał się jéj zadaniem i potrzebą.

* * *

W stowarzyszeniu Antropologiczném Paryskiém, miały niedawno miejsce żywe dyskusye nad darwinizmem.—Obrońcy i przeciwnicy teoryi biologa angielskiego ścierali się w téj uczonéj arenie, a pomiędzy nimi odznaczała się znana autorka dzieła „*O pochodzeniu człowieka i społeczeństw*“ pani Klemensa Royer.

Oburzona na określenie Dally'ego, uznającego w transformizmie tylko *prostą hypotezę*, pani Royer po zacytowaniu rozmaitych hypotez które wpłynęły na postęp wiedzy, wygłasza następny sylogizm. Hypoteza to teorya w stanie poczęcia — teorya to hypoteza stwierdzona przez indukcyę i poparta faktami. Owoż księga Darwina zapełnioną jest faktami — system jego spoczywa na przekształceniach, na zmianach zachodzących w hodowli ras zwierzęcych, a przeto nie może być prostą hypotezą, ale teoryą przedziwną, jedynie wyjaśnić mogącą zjawiska życiowe.

Rasy zwierzęce całkiem od siebie różne, powiada pani Royer, powstają za wpływém wyboru natury lub sztuki hodowlanéj. Przejawia się w nich dążność do zmienności, zwyciężająca cechy dziedziczne stopniowo się zacierające. Odpowiedzą mi zapewne antidarwiniści, że rasy domowe, wracając do stanu dzikości, przyjmują napowrót typ przodków — że więc dążność do rozwojów jest tylko objawem przechodnim, nieznaczącym. Ależ to czysta hypoteza. — Któż z was widział pierwotyp wołu lub konia? Kto wam powiedział, że te zwierzęta za powrotem do stanu dzikości, jednocześnie w Azyi, Ameryce i Australii, będą wszędzie reprezentantami jednego typu,—że przedstawiać będą jedne charaktery? W tych zmianach tylko wpływ żywiołu odgrywać może rolę ważnego czynnika.

Przeciwnicy darwinizmu powołują się na niepłodność mieszańców i zapytują, dla czego rasy płodne między sobą, wydają gatunki niepłodne? — W téj kwestyi sądzę, że naturaliści nadużywają cech płodności. Jeżeli bowiem, jak to rozumie p. Quatrefages, w zdolności wzajemnego upładniania powinno się zwracać uwagę na względy morfologiczne — jeżeli według niego, jedna tylko płodność daje nam możność odróżnienia gatunków od rasy, — to niech mi odpowie, *jak określi gatunek w organizmach niższych? W tych tworach niema całkiem gatunku są tylko rasy—ile znachodzimy w nich jednostek tyleż i ras liczymy.* Wrzeczywistości, płodność jest zależną od względów fizyologicznych, z których wybór naturalny wyłącznie może zdawać sprawę.

Broca zapytuje mnie, dla czego z pomiędzy wszystkich małp jeden tylko orangutang jest pozbawionym pazura u palca wielkiego, okrągłego wiązadła biodrowego, tudzież podziału płucnego — i dla czego gatunek ten pod wielu względami upośledzony może się utrzymywać. Odpowiem na to, że przedewszystkiem orangutang jest zwierzęciem które zniknie z powierzchni ziemi — że wreszcie jeżeli jego pierwotyp był opatrzony dobrym żołądkiem i charakterem lękliwym, nic dziwnego że mógł się rozradzać.

W rezultacie, powiada p. Royer, darwinizm nie jest prostą hypotezą, a tém mniéj romansem, jak się wyraził p. Giraldès, ale teoryą szeroką, opartą na faktach i zastosowaniu metody indukcyjnéj.

Pani Royer wygłosiła więc apologię darwinizmu, jakkolwiek powołała się na fakta znaczące, okazując, jak jest w saméj rzeczy, że gatunek należy do określeń bardzo względnych i elastycznych. Qutrefages jéj odpowiadał.

Przypomina on obserwacye Duméril'a, który z pomiędzy trzech tysięcy axolotów (Siredon) (*) hodowanych w menażeryi, znalazł dziewiętnaście przemian w ambystomy (**). W fakcie tym wszakże Qutrefages nie upatruje wcale formowania się nowego gatunku, a przyjmując nawet takowy, nie odnosi wspomnionéj przemiany, do wpływu wyboru naturalnego. Przykład podany przez niego wspiera raczéj teoryę przekształceń, przemiany bowiem skrzeków następują szybko i w stanie ich rozwojowym. Nie można też odrzucać wpływu wyboru natury dla téj tylko przyczyny, że okazy uległe przeobrażeniom pozostawały w menażeryi.

Po Qutrefages'ie zabierał głos Andrzéj Sanson, zapamiętały przeciwnik darwinizmu, mówca gorący, żywy, namiętny. Co do mnie powiada Sanson, jestem skromny, nie lękam się przyznać do niewiadomości, któréj się wypierają darwiniści, lecz nie mogę godzić się na dilemat przez nich stawiany. Niema pośredniéj drogi powiadają oni—trzeba zostać albo transformistą, lub też stronnikiem teoryi opatrznościowéj. Nie uznaję wcale potrzeby podobnych krańcowości, — odnośnie zaś do teoryi przekształceń żądam wyjaśnień opartych na faktach.

Za wpływowy czynnik natury uważacie wybór — zgoda — przyjmuję go, *ale tylko jako posługujący do zachowawczości gatunku*, nie zaś jego przeistoczeń, gdyż podług mnie *gatunek ulegający zmianom, nie jest już gatunkiem*. Pojmuję zmiany w barwie skóry, w rozmiarach muskułów, wszakże nie chodzi tu o nie, lecz o zmiany w skielecie — owoż skielet nie ulega zmianom. (?) Wprawdzie w dziele Darwina znajduję gołębie z czaszką odmienną, które tém samém, powinnyby stanowić oddzielne gatunki. Wszakże jakkolwiek znakomity naturalista utrzymuje, że wszystkie te gatunki pochodzą od prototypu zwanego *gołębiem Siniakiem* (Columba oeanas) czyż dowiódł tego? Bynajmniéj.—Darwin taki tylko stawia wniosek, i powołuje się na barwę błękitną odtwarzaną ciągle w zwrocie atawistycznym do pnia pierwotnego, jaki ma reprezentować Siniak. Czy wszakże jeden tylko Siniak cechuje się ubarwieniem błękitném? Wcale nie— wszystkie gołębie są niebieskawe, a gołębiarze zmieniają barwy krzyżowaniem do nieskończoności. Owoż żądam w téj mierze doświadczeń stanowczych, któreby mi pozwoliły mieścić transformizm po za szerokiém kołem hypotez — w rzędzie teoryj naukowych.

Po Sansonie zabrał głos Giraldès, głowa dość ciasna, co wszakże jak widzimy nie przeszkadza mu być członkiem Towarzystwa Antropologicznego. Darwiniści, powiada on, zacierają ręce, gdy mogą pochwalić się jakiém nowém odkryciem, zwłaszcza też, jeżeli chodzi o zapełnienie przerw w szeregu zoologicznym. Powołują się na szczątki małp kopalnych odkrytych przez Gaudry'ego w Pikermi, które pośredniczą między małpami wysmukłemi a makakami. Czy jednak objaśniają nas, od jakiego gatunku ów pośredni typ pochodzi—od małpy wysmukłéj lub makaka? W téj kwestyi nie wiecie więcéj odemnie, a to właśnie o wiele zmniejsza wartość powołanego faktu. Darwinizm jest hypotezą zuchwałą, nic więcéj; zdaje się mu że porusza wielkie idee, a porusza tylko *wielkimi frazesami*. (?!)

Milczący, poważny, w pośród téj dysputy Mortillet o głos uprasza. „Panowie, powiada znakomity antropolog, zdaje mi się że przeciwnicy darwinizmu, dopuszczają się nadużyć w stawianiu zarzutów. Żądają faktów, ale iluż im potrzeba? Co do mnie przy-

(*) Skrzeki Amerykańskie, zachowujące skrzela przez całe życie.
(**) Skrzeki bezskrzelowe.

noszę im tylko jeden. Gloxinia (Gloxinia Speciosa) jest jedną z najpiękniejszych Gesneryj jaką nam ofiarowała Brazylia w r. 1815. Typ jéj pierwotny posiada kwiaty opatrzone czterema płatkami korony, z kielichem dwuwargowym. Owoż według Morrena, *Gloxinie hodowane w cieplarniach, mają zawsze kielichy rurkowate, z pięcioma płatkami korony.* Macie więc przykład rośliny, która w ciągu pół wieku od jéj sprowadzenia z Ameryki, uległa zmianom w barwie, rozroście, kształcie, i całéj budowie--zmianom aż nadto dostatecznym do uznania odmiennego gatunku. Obecnie nie dodam nic więcéj; na przyszłém wszakże posiedzeniu przedstawię powody które mnie skłoniły do przyjęcia teoryi przekształceń.

Nie przyjmuję twego faktu, odzywa się Sanson. W botanice znajdzie się ich więcéj i prawdopodobniejszych, *odrzucam je wszakże wszystkie* jako nie znaczące, gdyż dotychczasowe klasyfikacye botaniczne, *określenia zwłaszcza gatunku*, nie przedstawiają cech *ścisłości naukowéj.*

Na tę interpelacyę niespodziewaną zgromadzenie wybuchło śmiechem — posiedzenie zamknięto.

* * *

Kończymy nasze sprawozdanie, zwracając uwagę publiczności na bardzo pożyteczną książkę, dla dzieci przeznaczoną, a wydaną nakładem zasłużonéj naszéj firmy księgarskiéj Gebethnera i Wolffa. *Wieczory Czwartkowe* napisane przez starego przyjaciela dzieci, obejmują pogadanki z fizyki, mechaniki, chemii, pomieszczone w dwunastu rozdziałach i objaśnione drzeworytami. Autor w układzie książki przyjął formę dyalogową, najstosowniejszą w tego rodzaju publikacyach, i umiał przedmiot ożywić, urozmaicić.—Książka jego odznacza się przedziwnie jasnym wykładem prawd naukowych, językiem pięknym, czystym, i ze wszech miar na rospowszechnienie zasługuje. Zalecamy szczerze *Wieczory Czwartkowe* rodzicom, gdyż dziatwa spewnością więcéj z nich pożytku odniesie, niż z powieści Żółtych czy Niebieskich, z Kotka i Pieska pani Dulskiéj, i tym podobnych bezmyślnych utworów spaczonéj wyobraźni.

W. Niewiadomski.

PRASSA PERYODYCZNA.

(Dalszy ciąg).

Od lat już wielu wychodzi w Warszawie pisemko z tendencyą wielce pożyteczną p. t. „Przyjaciel Dzieci.“ Już sam taki tytuł objaśnia jakiego rodzaju zadanie obrał sobie ten organ prassy, ukazujący się co tydzień, w dość ozdobném wydaniu, przystrojoném drzeworytami. „Przyjaciel Dzieci“ miał i świetniejszą przeszłość. Zpoczątku wychodził on bowiem w ozdobniejszéj jeszcze formie, a drzeworyty umieszczane w nim przez pana Müncheimera, należały do najlepszych, nietylko w Warszawie, illustracyj. Dziwną wszelako wydała się obojętność ogółu publiczności dla tak pożytecznego przedsięwzięcia, tém bardziéj, że „Przyjaciel“ jako przeznaczony dla dzieci, mógł śmiało liczyć na wielkie massy abonentów, pomiędzy tą właśnie rzeszą czytelników i czytelniczek, którym trudno odmówić gdy się czegoś naprą, choćby i bezużytecznego cacka nawet. Oczywisty ztąd wniosek, że zbyt wcześnie, dzieci tutejsze „nie napierały się“ swojego *Przyjaciela* i że on swoją treścią, pomimo strojnéj powierzchowności, nie zadawalniał ich bardzo. Wreszcie, ażeby nie zgrzeszyć niesprawiedliwością, zwalając całą winę niepopularności „Przyjaciela Dzieci“, jedynie na jego złą redakcyą, dodamy jeszcze, iż powodem niezbyt ogólnego rozpowszechnienia tego organu, była jego cena wysoka. O ile nas pamięć nie myli, pismo to wówczas kosztowało kwartalnie dwa ruble, gdy dziś jego cena prenumeracyjna, za takiż przeciąg czasu, wynosi rubla tylko — zaś dla mieszkańców Warszawy mniéj jeszcze o 25 kopiejek. Prawda, że teraźniejsze drzeworyty, illustrujące to pismo, ani liczbą ani wykonaniem nie mogą iść nawet w porównanie z ówczesnemi, prawdziwie artystycznemi illustracyami.—Pamiętamy, że w piérwszych już latach istnienia „Przyjaciela Dzieci“, zarzucano temu pismu, iż artykuły tam zamieszczane, nie odpowiadały swoją osnową pojęciom małych czytelników—choć pamiętamy również i to także, że Redakcya tłumaczyła się z takich zarzutow, dowodząc, iż pismo swoje, nie dla dzieci wychodzących z niemowlęctwa, lecz dla podroślejszéj już dziatwy wydaje;— bądź co bądź, jednakże wydawnictwo „Przyjaciela Dzieci,“ przechodzące z rąk do rąk, zawsze cierpiące na niedostatek abonentów, dostało się ostatecznie w ręce doświadczonego redaktora p. J. K. Gregorowicza, wydawcy Tygodnika, poświęconego modom, o którym niestety! jak to już wiedzą czytelnicy, nie mogliśmy się równie przychylnie odezwać. Odtąd niebawem już „Przyjaciel Dzieci“ przeszedł przez energiczną reformę. Cena jego zniżona prawie o połowę została, drzeworyty ograniczono pod względem artystycznéj wartości - a treść zastosowano w części dla doroślejszéj, w części dla drobniejszéj dziatwy, zawsze jednak z przewagą dla czytelników należących do piérwszéj kategoryi. Przypatrując się baczniéj zreformowanemu w ten sposób „Przyjacielowi Dzieci„ uwzględniamy wprawdzie jego dobre chęci, widniejące dość często w niektórych tam znajdujących się rubrykach—szczególniéj téż wybór powieści, najczęściéj tłumaczonych niestety! wielce starannym i odpowiednim bywa. Obecnie np. drukująca się tam w przekładzie „Historya dwóch Dusz“ Henryki d'Isle — doskonałą jest dla młodocianych czytelników powiastką, albowiem za pomocą silnych kontrastów przeprowadza przed niemi dzieje szlachetnego ubóstwa, ufnego w Bogu i własnéj pracy, oraz historyą serca możnéj a pośwječonéj dla dobra bliźnich duszy. Osnowa téj powiastki prosta i zajmująca, zdolna jest wzruszyć do głębi młode serca czytelników, a zarazem podnieść i wyszlachetnić ich pierwotne o życiu pojęcia. Chwalimy również opowiadanie o pierwszéj podróży Krzysztofa Kolumba, które dzieci, począwszy od lat 9-ciu już z pewną dla umysłu korzyścią, a co ważna, z żywém zainteresowaniem się, czytać mogą, chociaż w tém opowiadaniu autor schodzi zbyt często do takich szczegółów, których w popularnym wykładzie objaśnić trudno i na poznanie których czytelnicy„ Przyjaciela“ będą mieli jeszcze dosyć czasu.—Z wierszyków, jakie spotykamy w tém piśmie, jedne są zręczne i udatne jak np. bajeczka *Dudek*, w Numerze 29, drugie bardzo ładne i prawdziwie poetyczne, choć proste, jak np. *„Powój“* w N. 32—inne wreszcie źle wybrane i całkiem dla pojęcia dzieci niejasne, jak np. metaforami napuszony wiersz Karpińskiego „O uspokojeniu z cnoty“ lub „Gwiazdy“ p. A. Pileckiego, z których dzieci nabrać tylko mogą fałszywego o nauce astronomii pojęcia, a nic w zamian za to nie zyskują. Są téż tam arcy nieudatne także artykuły, najczęściéj w formie dialogów przedstawiane. Zazwyczaj w takich rozmówkach Józia lub Jaś pytają mamy lub papy o rzeczy choćby i niedorzeczne, byleby takie, na których kanwie mama lub papa, a właściwie nudny jak mama i papa razem autor, mógł wymoralizować się do syta i to za pomocą sentencyj płytkich i uwag bezdusznych. Cóż chcecie, i na słońcu są plamy a cóż dopiero, na Przyjacielu Dzieci, który już przez to samo dojrzałym być nie może... Słyszeliśmy, że podobno z powodzi nowych pism peryodycznych, jaka ma zalać Warszawę, wypłynie jeszcze jedno specyalnie dla dzieci przeznaczone pisemko. Wymieniano już nawet w jakiémś sprawozdaniu tytuł téj przyszłéj peryodycznéj publikacyi. Sprawi to konkurencyą Przyjacielowi Dzieci; a jak wiadomo już teraz z dobrze zrozumianych zasad ekonomicznych, każda konkurencya, zamiast osłabiać istniejące przed nią przedsiębierstwa, owszem, umacnia je, odradza i korzystniejszemi czyni,—dowodem tego np. Kurjery: Warszawski i Codzienny — lub „Swiąteczny“ i „Mucha.“ Ha! skoroć już zawadziliśmy aż o trzy Kurjery i o siedzącą na jednym z nich Muchę... powiedzmyż coś także i o tych pismach z kolei.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OBRAZY DAGESTANU

przez

R. Klonowskiego.

(Dalszy ciąg).

Wkrótce potém przyprowadzono i niańkę dzieci księżnéj Czawczadze. Biedna ta dziewczyna otrzymała trzy cięcia w głowę, szaszką. Że nie miała przerąbanéj czaszki, zawdzięczała to tylko swoim gęstym włosom; lecz cała była krwią zalana, która ściekała

jéj na grzbiet. Prócz tego miała rękę mocno skaleczoną kindżałem, a jeden palec wisiał jéj tylko na nerwie. Księżna Orbeliani podarła kołnierzyk i rękawek i przewiązała rękę biednéj dziewczyny; głowy nieopatrywano, bo krew zapiekła położyła na niéj naturalną kompressę.

Po chwili udano się w dalszą drogę. Tą razą tylko dwie księżne czeczeńcy posadzili na konie, rozłączywszy siostry z sobą. Drugie kobiety szły pieszo, p. Drançay i ranna niańka obok siebie. Niańka, osłabiona utratą krwi, szła z wielką trudnością, lecz za każdym razem, kiedy nieszczęśliwa stawała, dozorujący ją czeczeniec dodawał jéj sił bolesnymi razami bata. Nakoniec, nie mogąc wytrzymać dłużéj i czując że umrze pod batem, dziewczyna zaczęła wołać zrospaczonym głosem do księżnéj Orbeliani: „Duszko! pani! księżno!“ Księżna usłyszawszy znajomy sobie głos, nie zważając na opór czeczeńca, który ją prowadził, zsiadła z konia, kazała siąść na niego niańce, a sama poszła piechotą. Stanowisko jéj w świecie wywierało pewien wpływ na czeczeńców, tak, że w ciągu całéj drogi obchodzono się z nią z pewnymi względami. Księżna szła pieszo ze trzy godziny, lecz gdy przez bagna nie mogła iść tak prędko jak przewodnicy chcieli, zmuszono ją siąść znów na konia. Księżna zgodziła się, z warunkiem, żeby i niańka siadła za nią z tyłu. Osłabiona dziewczyna tak mocno ją objęła rękami, że księżna po niejakim czasie zemdlała. Wówczas miuryd kazał jakiemuś góralowi zsiąść z konia i posadził na niego księżnę.

W jednym z oddziałów niewolników spotykanych po drodze, księżna poznała młodą dziewczynę ze wsi Cynandały. Z nią był tylko: brat i babka. Umierającą matkę — rzucono po drodze... Brat niósł małą, czteromiesięczną siostrę Ewę, która od wieczoru do południa nic w ustach nie miała. Wkrótce przyjechano nad brzeg dość bystrego potoku, który też w brod trzeba było przebyć. Nikt nie chciał wziąść z sobą rannéj niańki, a gdy ta na zwyczajnéj drodze zaledwo mogła się utrzymać na koniu, widoczném było, że nie zdoła i przez potok przejechać. Księżna Orbeliani zatrzymała swego konia i rzekła do górali: „posadźcie ją za mną;“ — a gdy ci udali że nie rozumieją: „chcę tego,“ — rzekła roskazującym tonem, znajdując w sobie całą energię dla dopełnienia dobrego uczynku. Ranną posadzili znów za księżną, która skierowała konia do wody, lecz na środku potoku koń zaczął się narowić, chcąc pozbyć się zbyt wielkiego ciężaru. Gdyby obie kobiety upadły w wodę, byłoby po nich, gdyż potok płynął bystro i po pochyłości. Wtém góral jeden chwyta konia za cugle i zmusza go płynąć naprzód, lecz na brzegu, żeby się znów coś podobnego nie zdarzyło, czeczeńcy przymusili niańkę zsiąść.

Górale kierowali się ku fortecy Pochalskiéj, w któréj podówczas Szamil się znajdował. Imam przyjechał był do niéj z Wedenu, żeby z góry swojéj niedostępnéj skały śledzić niejako za wycieczką. Dotychczasowe drapania się i wjazdy na góry, były to tylko przedwstępne trudności, w porównaniu do drogi, prowadzącéj do tego gniazda orlego. Wjazd na górę trwał ośm godzin. Sama tylko księżna Orbeliani dla swéj słabości została na koniu. Na każdym kroku zdawało się że koń spadnie z nią wprzepaść, lecz księżna była obojętną na niebespieczeństwo. Nakoniec, spostrzeżono fortecę, lecz na takiéj wysokości, że trudno było pojąć, jakim sposobem ludzie się do niéj dostawali. Ze wszystkich stron górale — pasterze zbiegali się dla widzenia jeńców, skacząc ze skały na skałę, nad przepaściami, które najśmielszych nawet mogłyby o zawrót głowy przyprawić. Gruzya została w tyle. Przejechano przez ziemię neutralne; — jeńcy byli w kraju górali.

Bujna zieloność, jak pyszny kobierzec, pokrywała miejscami górę, i tylko droga na nią coraz stawała się trudniejszą. Na każdym kroku trzeba było zatrzymywać się, gdyż co chwila znużone kobiety padały na ziemię i nie wstawały, pomimo że okładane były nawet srogimi razami. Przybyli górale otoczyli niewolnice, poglądając na nie z ciekawością. Jeden z nich sięgnął ręką po panią Drançay. Francuska krzyknęła przeraźliwie, sądząc się już być rzeczą, do któréj każdy miał prawo; lecz góral który ją wziął w Cynandałach odepchnął napastnika.

— „Czy umie ona szyć koszule?“ zapytał pierwszy.

— „Umie,“ odpowiedziała na domysł, jedna z kobiet ruskich, li-tylko przez złość, że guwernantka była fracuską, chociaż wiedziała, że tém wiele w jéj położeniu zaszkodzić może.

— „To dobrze,“ rzekł góral — „daję za nią trzy ruble.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULJI KAVANAGH.

TOM I.

(Dalszy ciąg).

— Doprawdy? — cóż to więc jest?

— To upodobanie, nie zaś przyjaźń. Wszak mi nic nigdy nie mówisz o sobie.

Zarumienił się nieco i odpowiedział.

— Nie mogę. Moje tajemnice nie należą do mnie. Gdyby twoja przyjaciółka, panna Cains, powierzyła ci swój sekret, czyżbyś mi go powiedziała.

— Nie, toby było zdradą.

— Tak samo byłoby zdradą, gdybym ja chciał mówić.

— Ona tu przyjedzie — wesoło rzekła Sybilla — już list do niéj posłany.

Stryj Edward spojrzał z pomięszaniem.

— Co, miss Cains tu przyjedzie? — zawołał.

— Dla czegóżby nie? Ojciec widział żem tak posępna i ustąpił,—choć myślałam że nigdy tego nie zrobi.

Stryj spoważniał, ale nic nie mówił.

— Zobaczysz ją więc teraz stryju, mówiła daléj Sybilla.

— Cóż to za cudo, ta miss Cains, rzekł zwykłym swoim drwiącym sposobem.

— Tak, cudo: piękna, zgrabna, miła i dobra.

Siwe oczy stryja Edwarda błysnęły dziwnym sposobem.

— Ostrożnie, moja droga, taki portret może sprawić zawód. Cóż będzie jeżeli ja nie dopatrzę tych przymiotów?

Sybilla uśmiechnęła się zarozumiale.

— Znajdziesz stryju wszystko to i daleko więcéj, bo przywyknienie ukrywa przedemną wiele z tego co tobie wpadnie w oko.

— Moja droga, dobra Sybillo, rzekł z uczuciem stryj Edward, — szczęśliwy kto ciebie dostanie za żonę.

— Co? ze wszystkimi moimy błędami? filuternie zawołała Sybilla.

— Nawet z błędami — tylko nie spiesz się w tym względzie.

Sybilla kiwnęła głową.

— Będę powolną, rzekła z uśmiechem.

— Chciałbym żebyś mnie obrała za powiernika, gdy ten czas przyjdzie, mówił daléj, ażebym mógł ci poradzić lub ostrzedz cię. Dobrze?

— Nie — tak, — odpowiedziała Sybilla, nieco zakłopotana— ale stryju, dodała spokojniejszym tonem—ożeń się z Blanką Cains.

— Sybillo!

— Chciałabym żeby się to stało — pewną jestem że byłbyś dobrym mężem.

— Bardzom obowiązany za dobrą opinję jaką masz o mnie, ale powiedz mi na czém ją zasadzasz.

— Jesteś stryju sprawiedliwy i dobry, zatém dobra i godna kochania kobieta byłaby z tobą szczęśliwą i ciebie by uszczęśliwiła.

— *Chi lo sa*, jak powiadają Włosi—twoja przyjaciołka jest doskonałą, a ja może czuję w sobie jakie niedostatki — coś nakształt ciebie, Sybillo.

— Widzisz stryju, Blanka ma tyle przymiotów że ją musisz uwielbiać, byleś tylko ją zobaczył. Jest dobrą, ma tak piękne rysy twarzy, i...

— Jaka jesteś nieroztropna! przerwał stryj — zakocham się w samym opisie; a jeżeli następnie piękna Blanka nie znajdzie we mnie upodobania, w jakiż sposób wycofać się potrafię?

Sybilla rozśmiała się głośno.

— Nie jesteś tak wrażliwy mój stryju, iżbyś miał stracić serce z samego opisu mojego. Dam pokój opisom, powiem tylko że wątpię bardzo iżby Blanka nie znalazła w tobie upodobania — na tyle rozsądku i gustu.

— Dziękuję ci za tak piękny komplement, ale, niestety, rozsądek i gust nie stanowią w téj materyi; i bardzo być może iż się sobie nawzajem nie spodobamy.

— O, toby było szkaradnie, zawołała Sybilla.

— Co by było szkaradnie? zapytał Kennedy, który wszedł niespodzianie.

Nikt nie miał ochoty odpowiedzieć szczerze. Sybilla zatém powiedziała:

— Stryj uprzedził się przeciw biednéj Blance. Ale ojcze, tak prędko powróciłeś.. Czy list odszedł?

— Już wyprawiony. Tak więc Edward nie jest z góry oczarowany piękną Blanką? Co za herezya!

— Tak, to herezya, rzekła poważnie Sybilla.

Śmieli się z niéj obadwa i ona się śmiała; dostrzegła jednak ze zdziwieniem jak stryj i ojciec wymienili ze sobą zakłopotane, niespokojne spojrzenia. Wkrótce opuścili pokój. Sybilla usłyszała jak stryj zadał jakieś pytanie, na które ojciec odpowiedział:

— Nie mogłem inaczéj.

Sybilli w jednéj chwili przyszło na myśl, że stryj był główną przeszkodą sprowadzenia Blanki Cains. Jakie miał do tego powody, nie mogła odgadnąć.

ROZDZIAŁ XI.

W późniejszych czasach gdy Sybilla zastanawiała się nad tą epoką swojéj młodości, sądziła, iż były to może najszczęśliwsze jéj chwile. Szybko przychodziła do zdrowia, a czułość ojca, dobroć stryja zwiększały to poczucie zadowolenia z sił wracających. Przytém Blanka odpisała że przyjedzie, więc nadzieja i oczekiwanie zapełniały serce Sybilli. Stryj Edward zajął się umysłowém kierownictwem Sybilli, w delikatniejszy sposób niż poprzednio. Kennedy czytał gazety lub pisał listy, podczas gdy brat jego czytał lub studia odbywał z Sybillą. Nie były to formalne lekcye, ale pogadanki w naukowych lub moralnych przedmiotach.

Umysł Sybilli wcale nie był słaby, chociaż gusta czasem były błahe, dziecinne. Stryj Edward często bawił się wyciąganiem jéj na dysputę. Wtedy konwersacya zamieniała się w walkę, w któréj potężny nauką i szermierską wprawą stryj, pokonywał swego maleńkiego przeciwnika, lub też wspaniale dawał mu sposobność do wycofania się obronnie. Stryj Edward był prozą, przynajmniéj tak mówił, a Sybilla umiała go podżegać do rozprawy, przesadzając dozą poetyczności.

Pewnego posępnego wieczora, gdy wiatr morski dął rospaczliwie a deszcz uderzał o szyby, Kennedy zagłębił się w *Timesie*, stryj Edward siedział z założonemi rękami, w myślach pogrążony, a Sybilla spojrzawszy w około siebie, z westchnieniem powiedziała:

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

NOWINY.

P. Adam Rzążewski wydał w tych dniach w Warszawie studium nad literaturą polską XVII i XVIII wieku, pod tytułem: *Hijeronim Wespazjan Nieczuja z Kochowa Kochowski*.

W Białogrodzie, w Serbii, Członek Towarzystwa Naukowego Serbskiego, *Stojan Boszkowicz*, wniósł projekt o potrzebie wydania Encyklopedyi Powszechnéj, naukowéj, dla narodu Serbskiego, Słoweńskiego i Bulgarskiego. — W témże mieście, *Wielimir Wołożicz* rospoczął wydawnictwo kompletnego zbioru narodowych pieśni, o Marku Królewiczu Serbskim, — a wdowa po Wuku Karadziczu, pierwszym takowych wydawcy, ogłasza rownież nową i pomnożoną ich edycyą w Wiedniu.

Poemat A. Mickiewicza: *Konrad Walenrod*, przełożony został na język serbski, przez *Danilę Medicza*. Przekład ten ma być wydany w Nowym Sadzie, drukiem D-ra Subboticza.

Czasopismo Dalmackie *Dubrownik*, zamieściło w swych szpaltach przekład *Nieboskiéj Komedyi*, Krasińskiego.

W trzecim zeszycie *Rozpraw w towarzystwie miłośników rossyjskiéj literatury, przy uniwersytecie w Moskwie*, znajdujemy przekład kilku sonetów Mickiewicza, przez p. *Majkowa*.

W bieżącym roku wydano w Rossyi kilka poważniejszych prac odnoszących się do panowania Cesarza Aleksandra I-go, jak np. *Zarysy społecznego rozwoju za panowania Cesarza Aleksandra I.* A. Pypina,—*Hrabia Bludow i jego czasy*, przez E. P. Kowalewskiego, wydanie drugie, — i *Historya Cesarza Aleksandra I. i Rossyi za jego panowania*, M. Bogdanowicza.

W Kijowie zawiązuje się Towarzystwo, celem ulepszenia hodowli drzew owocowych.

W Starogrodzie (w Prusach zachodnich) pp. Jackowski, Czarliński, Roehr i kilku innych, zakładają nowy akcyjny Bank rolniczo-przemysłowy.

Jak się dowiadujemy, Wieliczce zagraża znów niebespieczeństwo, przez ukazanie się, w górnych piętrach kopalni soli, nowego źródła wody.

W jesieni r. b. w Dreznie, ma się odbyć wystawa wszystkich dzieł sztuki znakomitego malarza Holbeina.

Znany powszechnie *Paweł Kok* (Paul de Kock), powieściopisarz francuski, zmarł w Paryżu, dnia 30 Sierpnia. Urodził się w 1794 r.

Na Wystawie Sztuk Pięknych znajdują się, pomiędzy innymi, następujące nowe utwory: S-ta Weronika, obraz olejny p. Jasińskiego; — Parobek idący po wodę, obrazek rodzajowy p. Ksawerego Pillatego; — trzy portrety olejne p. Millera, i fotografija Antoniego Wagi, kolorowana olejno przez ś. p. Aleksandra Zarzyckiego. — W oddziale rzeźby umieszczone zostały: popiersie Mickiewicza z bronzu, p. Zbąskiego i Madonna, wypukłorzeźba na drzewie gruszkowém, przez p. Kozakiewicza ze Lwowa.

HUMORESKA.

WIRTUOZ.



Nr. 3. Scherzo!

KORRESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Tym wszystkim PP. Prenumeratorom, którzy listownie użalali się przed nami, że w kw. III r. b. *nie odbierają dotąd wcale* naszego pisma, Redakcya ma honor odpowiedzieć: iż stało się to z powodu nieotrzymania od nich należnéj nam summy prenumeracyjnéj. Wierząc jednak, iż nikt nie upominałby się o to, do czego nie ma prawa, pomimo niewiadomości do dnia dzisiejszego co się stało z nadesłaną nam kwotą, dla uniknienia nieporozumień i niechęci, każdéj z powyższych osób postanowiliśmy przesyłać, bądź co bądź, pismo — i rzeczywiście posłaliśmy już pocztą w dniu 1 Września r. b. pierwsze dziewięć Numerów Opiekuna Domowego, począwszy od Nr. 27-go, — upraszając najuprzejmiéj każdego z tych Panów o nadesłanie nam dowodu na czyje ręce złożył pieniądze — i ostrzegając wszystkich wogóle, aby na przyszłość, dla uchronienia siebie i nas od wszelkich tym podobnych strat, zawodów i opóźnień się — prenumerata nadsyłaną była tylko wprost do Redakcyi, na Ulicę Chmielną Nr. 3 (nowy), — i o ile można, bez pośrednictwa osób trzecich.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch. Дозволено Цензурою. 23 Августа (4 Сентября) 1871 г.— Redaktor Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*,